

W poznańskim Teatrze Nowym gra się „Na dnie” Gorkiego, a w Polskim „Ocalonych” Bonda. Po obejrzeniu obu przedstawień doszedłem do przekonania, że sztukę Bonda w reżyserii Andrzeja Witkowskiego nazwać by można „Na dnie”, a sztukę Gorkiego w reżyserii Izabelli Cywińskiej „Ocaleni”.

GORKI bowiem w Nowym napawa ogromnym optymizmem, a Bond w Polskim skrajnym pesymizmem. Gorki jawi się nam w Poznaniu jako wielki humanista, natomiast Bond jako jego antyteza. Na czcigodnej scenie Teatru Polskiego mamy imitację aktu kopulacyjnego, potem ukamienowanie dziecka, albo raczej jego kukły, mamy język bluźnierczy co chwila różnymi gnojkami, kurduplami itp. W nowym zaś gorkowscy „bosiaczy” mówią ścią salonowym językiem i prezentują manieri też ścią artystokratyczne. W Nowym królują wykwiśnięta literatura w znanym przekładzie Anny Kamińskiej i Jana Śpiewaka, a w Polskim stylizacja ryszczokowa „cockneya” w przekładzie Sławomira Magali i Stanisława Barańczaka. W pewnym okresie mego życia nasłuchiwałem się dosyć dużo owego angielskiego slangu, który płynę z gardła chrapliwie zduszonymi monosylabami i pokurczonymi dyftongami. Konstruowanie z tej magmy dźwiękowej pompacyjnej, ryszczokowej artykulacji w języku polskim staje się w odbiorze niesmacznym zabiegiem, równie naliwym, co śmiesznym w końcu. Dlatego sądzę, że do tego typu przekładów z angielskiego, a już zwłaszcza z Bonda brać się powinni wyłącznie sprawdzeni fachowcy w rodzaju np. Cecylii Wojewody, albo Kazimierza Piotrowskiego, którzy potrafia ośzifować to trudne tworzywo językowe, ale i pojęciowe, tak obce naszej mentalności lingwistycznej.

Tyle uwagi poświęćmy warstwie języka w sztuce Bonda, ale jest ona w nim wyjątkowo kaleka i wykoślawia chyba właściwy odcień „Saved” (polska prapremiera!), zwłaszcza kiedy młoda protagonistka Pam mówi, a raczej krzyczy cały czas chrapliwym bełkotem. No więc mamy wreszcie w Polsce sztukę, która ongiś (w 1965 r.) tak bardzo zbulwersowała Londyn, że cenzura zdjęła ją z afisza w Royal Court. A w Poznaniu? Nie sądzę, aby ta młodzieżowa (przeważnie) widownia, która ze mną ją oglądała, była sztuką specjalnie zgorzsona, i myślę, że Bonda odbierano tak, jak na to zasługuje, to znaczy jako współczesny, bulwarowy melodramat z Zachodu, mimo tak bardzo skandalizującej reżymy, jaką doń przyczepiono i fany awangardyzmu obyczajowego.

Może dla nas, Polaków anno 1974 jest to sztuka z życia sfer londyńskiego marginesu. Ale to pojęcie marginesu społecznego myśmy sobie szóstym w Polsce wymyślił, jako obszar pewnej wyraźnie odciętej subkultury naszego społeczeństwa. To uproszczenie. Zaden socjolog nie pzna takich obszarów idealnie od siebie oddzielonych i żyjących własnym ponoć życiem. Prawo osmozy społecznej działa w obie strony. I nie inne jest też anglosaskie milieu, któremu Bond zafundował tę sztukę o ludzkim okrucieństwie, tak jak zafundował też swojego „Króla Lira”, którego nie byłoby gdyby nie ten szekspirowski. Ale też pewnie w ogóle nie byłoby Bonda, gdyby nie Szekspir, który znowu tylko narodzić się mógł na tej ziemi, na której tyle głów ścinano, i wykonanie wyroków oglądano kiedyś w Old Bailey jako płatne widowisko. Dziś to okrucieństwo jest już tylko smaczkiem, ostrą przyprawą do pewnych plodów sztuki, i to kamienowanie dziecka, które nawet nie zakwili, należąc może też do osobliwej rekwizytor- ni ballady podwórzowej, choć u nas, u Żeromskiego w „Dziejach grzechu” pozbycie się dziecka Ewy Pobratymskiej urasta do symbolu wielkiego, dramatycznego patosu literatury. A więc nie ten dynamiczujący całą akcję sztuki incydent jest w niej najmiarodajniejszy, ale to niezwykle raczej sprze-

żenie popłuczyn Dickensa z jakąś angielską „Moralnością pani Dulskiej”. W końcowej bowiem scenie Pam, Mary, Harry i Len, czyli córka, matka, ojciec oraz kochanek siedzą znowu razem pogodzeni przy wspólnym stole, a trupek dziecka karmionego aspiryną, aby tak mocno i długo nie wrzeszczało, leży w jakiejś nieznannej mogiлицe, bo nawet nie wiadomo, kto mógł być jego ojcem.

Sztuka Bonda jest więc dziś nieomal klasyczna, angielska, współczesna obyczajówka, w której przejrzeć się mogą również pewne ekscesy różnorodnej obyczajowości. Jest w niej też po trosze coś ze współczesnego, negatywnego moralitetu, i chyba, mimo wszystko dość, na razie przynajmniej, egzotycznego dla młodych Polaków. W Poznaniu zagrano ją bardzo gorliwie, może aż nazbyt po neoficku, to znaczy akcentując ten jej cały sztafaż kryminalno-erotyczno-obyczajowy, i to w sposób bardzo teatralny, a więc nieco kunsztowny. Ale może w wa-

nalnego chyba mordercę dziecka — Tadeusza Morawskiego (Fred).

I oto poznański Teatr Nowy o-wiany znowu imię jego dyrektorki Izabelli Cywińskiej, która przeprowadziła się doń z Kalisza ze swoim zespołem po kilku sezonach rzetelnych sukcesów. W Polskim w porę ostrzeżono mnie, że jej nowa inscenizacja „Na dnie” Gorkiego to niewypał. Ano, to dobrze, że w ferworze konkurencji tworzą się i takie opinie, nie do pomysłenia, gdy oba teatry były pod jedną dyrektcją. A na sali przebudowanego gruntu-ownie, teatru, w którym grywał Solski, Węgrzyn, Fertner, Junosza Stepowski, Damięcki i Cwiklińska, a reżyserował Wierciński, Zawistowski i Chaberski, znowu bardzo młoda, ale nobliwa widownia: gustownie ubrane dziewczyny długowłose i długowłosi młodzieńcy w okularach, czyli ta sama młodzież, jaką spotykam u Hanuszkiewicza w Narodowym.

Na scenie „Na dnie” Gorkiego. Obawiałem się jego patosu, deklamacyjności lub też bardzo literackiej sentencjonalności. W wielu polskich inscenizacjach tej sztuki starano się nieudolnie zbliżyć do jej rosyjskiego oryginału akcentując to soczyste i nonszalanckie napławia- teliestwo pensjonariuszy domu noclegowego Miskli Kostylewa. I te starania, w wykonaniu często nawet wybitnych aktorów, grzeżyły w nowej, nieznośnej sztampie teatralnej uwydatniającej natrętne ideologię sztuki, a nie jej wymowę artystyczną.

I nagle na scenie Nowego obserwuję arcydziwne zjawisko: młodzi aktorzy, często chyba niewiele starsi od tych oglądających ich na widowni, uwiarygodniają w sposób w pełni zrozumiały humanistyczną o-sonową sztukę. Momentami nawet grają jakby niezwykłą psychodramę według scenariusza z 1903 r. (data polskiej prapremiery „Na dnie” w Poznaniu). Baron (Michał Grudziński), Aktor (Janusz Michalowski), Satin (Tadeusz Drzewiecki), Wasilisa (Danuta Borowiecka), Nastia (Halina Labonarska), Natasza (Joanna Orzeszkowska), Waśka (Marian Krawczyk) i inni, oni wszyscy przekazują chyba bardzo autentyczne doświadczenia swojej świadomości, i to ostatnimi kilku-nastu lat, kiedy właśnie psychicznie i intelektualnie dojrzewali. Nie ma w nich pozy, krygowania się i minoderli, a jest cudowne, prawie psychosomatyczne dopasowanie siebie do psychicznych wizerunków postaci ze sztuki Gorkiego. A więc bez balastu historycznych już re-miniscencji typu aktorskiego, czy też inscenizatorskiego. Oni dostali po prostu zadanie zagrania na serio, w sposób w pełni oryginalny, ale i odpowiedzialny obrosłych aż taką tradycją postaci z „Na dnie” Gorkiego. I ten nowy Gorki w Poznaniu przykuwa uwagę. Czuję się, że chyba nie byłoby bez niego Becketta, jak nie byłoby pewnie Camusa bez Dostojewskiego. Czuję się też, iż nie byłoby może bez tego Gorkiego i „Viridiana” Bunuela. W istocie, poznaliśmy aktorzy czekają też na swego Godota, który jest na razie bez imienia, ale którego czuć w powietrzu, i jego niedugie już przyjsię wieści Lułca (Jerzy Ern). Poznańskie „Na dnie” Gorkiego ma swój w pełni optymistyczny akord, mimo samobójstwa Aktora i śmierci Anny. Rzecz można, że to oni, ci gorkowscy ludzie będą w stanie podnieść się z przypisanej im de-grengolady, że oni, zawsze, w każdej epoce i miejscu będą „ocaleni”, jeśli, ba, jeśli nie zatracą swej go-dności, swego człowieczeństwa, jeśli wierni będą tym wiecznym wartościom zawartym w pisarstwie Tolstoja, Dostojewskiego, Gorkiego, Majakowskiego... Ale, czy to nie znowu jakiś patos i heroizm rodem z literatury? Nie wiem. Wiem jednak, że z poznańskiego „Na dnie” Gorkiego wyszedłem podniesiony na duchu z wiarą w dojrzałą młodzież teatru, jaki prowadzi Izabella Cywińska.



BOND

I GORKI

W POZNANIU

BOGDAN DANOWICZ

runkach polskich tak trzeba było zrobić? Zwłaszcza gdy taka kunsztowność kamufluje trochę normalną już tam w Londynie naturalistyczną ostentację, która u nas jeszcze nie uchodzi, ale podana, bezpretensjonalnie nie jest czymś wyuzdanym.

A sam Bond? Czy to już nowator na miarę Ibsena, Strindberga albo Pirandella, czy też ściśle wyspiarski piewca anglosaskich kompleksów? Myślę, że jak kiedyś Osborne, potem Pinter, kontynuuje on, tyle że w sposób jeszcze bardziej dosadny, gwałtowny, ten nurt najnowszej dramaturgii angielskiej o-partej na brutajnej, wstrząsowej kuracji widza (katharsis?), sięgającej do całego, dostępnego dziś jeszcze teatrowi, arsenału środków ekshibicjonistycznych, z całą też biologią człowieka włącznie, aby zademonstrować — właśnie, ale co? Wszystkie skrzywienia i deformacje jego instynktów, psychiki, obyczajów, względności etyki i moralności, samo nawet zakwestionowanie jej normatywności? A jeśli tak, to czyż tamci wiecy, ale staroświeccy analitycy mroków duszy człowieka, nie uczynili tego głębiej, klarowniej i z większą dozą humanizmu? Pocekałmy jednak z potępieniem, czy też gloryfikacją Bonda, który pisze ciągle nową sztukę.

W dość sprawnie w sumie zmontowanym poznańskim spektaklu pochwalibym jednak aktorów tworzących ten specyficzny kazirodczo-mażeński czworokąt, a więc Halinę Dobrucką (Mary), Pam — Marzenę Trybałę (ale wyłącznie za fizyczną sylwetkę), Jacka Polaczka (Len) i Włodzimierza Kłopotkiego (Harry), no i dodatkowo, intencjo-

TEATR POLSKI w Poznaniu: „Ocaleni” (Saved) Edwarda Bonda. Przekład Stanisława Barańczaka i Sławomira Magali. Reżyseria: Andrzej Witkowski. Scenografia: Henryka Regimowicz. TEATR NOWY w Poznaniu: „Na dnie” Maksyma Gorkiego. Przekład: Anny Kamińskiej i Jana Śpiewaka. Reżyseria: Izabelli Cywińskiej. Scenografia: Kazimierza Wiśniewska. Muzyka: Zdzisława Górnego.